

MATEUSZ KUŚMIEREK

# ŻYCIE

— po —

## SAMOBÓJSTWIE

czasem koniec to tylko  
początek prawdziwego  
życia

MATEUSZ KUŚMIEREK

ŻYCIE

PO

SAMOBÓJSTWIE

© Copyright by Mateusz Kuśmerek & e-bookowo

Korekta: Katarzyna Krzan

Skład: Katarzyna Krzan

Projekt okładki: Mateusz Kuśmerek + AI

ISBN e-book: 978-83-8166-526-1

ISBN druk: 978-83-8166-527-8

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo  
[www.e-bookowo.pl](http://www.e-bookowo.pl)

Kontakt: [wydawnictwo@e-bookowo.pl](mailto:wydawnictwo@e-bookowo.pl)

Ten e-book jest zgodny z wymogami  
Europejskiego Aktu o Dostępności (EAA).

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości  
bez zgody wydawcy zabronione.  
Wydanie I 2026

# CZĘŚĆ PIERWSZA

## „JA”

*Początkiem tej historii jest koniec. Spuszczanie kurtyny po przedstawieniu. Z tą różnicą, że nie w momencie, który proponował reżyser.*

*To aktor podbiegł do sznura i pociągnął, choć sztuka trwała w najlepsze.*

**D**ość. Nie dam rady tak dalej. Marazm ten dobija mnie. – Zaśpiewałem falsetem przez zaciśnięte zęby z szerokim uśmiechem. Forma wypowiedzi tkwiła gdzieś między amerykańskim karcianym przeciwnikiem Batmana, a zwykłym polskim nieudacznikiem z chorobą psychiczną. Odkąd pamiętam rozmawialiśmy z Piotrem półżartem, półtłumionym krzykiem prosto z samego jądra bólu. Osiemnaście lat razem, oddzieleni jedynie solidną deską barowego blatu. Towarzyszył mi od początku mojej literackiej drogi. Kiedy pierwszy

raz rzuciłem mu cumę, by na chwilę zakotwiczyć w porcie – jak to się ładnie mówi – obaj mieliśmy po dwadzieścia pięć lat. Otwarcie na świat, światem nieprzerażeni, świata ciekawi, pełni złudzeń, które wówczas wydawały się punktami na ambicjonalnej mapie. Takimi, które są w zasięgu młodej i zdolnej ręki.

– Jasne, jasne. Rozumiem. Co dla pani? – Protekcyjnalny kutas. Niemniej ma rację. Przychodzę tak od roku i smucę, że nie jestem w stanie przelewać myśli na papier. Boże, przelewać, jakie okrągłe wyrażenie, nie mogę zrzucić z siebie choćby kropelki. Bo przestałem myśleć. Miesiące temu.

Zresztą z tym Jokerem coś było na rzeczy, bo faktycznie czułem się jak karta, która, mając omnipotencję bycia każdą z talii, obciążona jest pustką braku własnej tożsamości. Jako pisarz bez celu i sensu, mogłem być na kartach powieści wszystkim, nie mając w życiu własnego „ja”.

Mniej więcej się zgadza.

Wyprowadzam psa, robię obiad, robię kawę, robię kupę, robię sobie dobrze, przeglądając mój fanpejdż, rytualnie zasiadam do laptopa z nadzieją, że to dziś przełamanie spadnie jak grom z nieba, piszę stronę, usuwam stronę, bo brednie i grafomania, chowam twarz w dłoniach, palę papierosa, odbieram telefony, które są jak strzał z otwartej w wyżej wymienioną, ponieważ to manager dzwoni, że w tym miesiącu mam dziesięć spotkań autorskich w związku z głośną powieścią, którą zawojowałem mikroświat jakiś czas temu (bolesne wspomnienie sprzed okresu niemocy twórczej), bo sprawa nabiera rozpędu, gdyż ekranizacja, premiera, post splendor, drugie życie, szaleństwo, mówię, że tak, jasne, jestem wolny

w tym terminie (i tak siedzę i nic konstruktywnego nie robię), jestem wolny w każdym terminie, niech będzie, poświęcę obliczem, odkładam telefon, na to wchodzi moja obecna, pyta jak tam, to zgodnie z kłamstwem odpowiadam, że kapitalnie (choć „kapitulacyjnie” pasowałoby zdecydowanie lepiej), rozmawiamy, czy raczej słucham, co i jak u niej, jemy, coś obejrzymy, w pozytywnej wersji scenariusza, kiedy ociążałość po posiłku pierzchnie – migdalimy się, w negatywnej, wiadomo, ona przeprasza, ale ma jeszcze sporo pracy (ponieważ jest panią architekt i te projekty wchodzi jej na głowę, no, przepraszam, kochany ty mój), zatem ja ośmielony jej determinacją zasiadam, podejście numero dos, do laptopa, powtarzam nieuniknioną procedurę orientowania się we własnej niemocy twórczej, rzucam tym wszystkim mniej lub bardziej metaforycznie, zakładam płaszcz, zdejmuję płaszcz, myję zęby, zakładam płaszcz, wrócę później kochanie, pa!, wychodzę, docieram do konkretnego baru, tego, a nie innego barmana, podchodzę i mówię:

– Dość...

I tak od roku.

– Nie, Piotr, naprawdę dość. Dziś mija rok, odkąd powiedziałem ci to pierwszy raz. Rok od momentu, kiedy każde napisane przeze mnie zdanie nic nie znaczy. Następnego roku nie przeżyję. I to nie jest metafora. Człowiek chce żyć, dopóki jest użyteczny. Ja przez ostatnie trzysta sześćdziesiąt pięć dni kopałem sobie grób. Dnia trzysta sześćdziesiątego szóstego po prostu do niego wskoczę. Hop! O tak. Jest dwudziesta trzecia. Czyli za godzinę od teraz. Znajomy z ciemnych acz atrakcyjnych czasów dał mi kiedyś broń na przechowanie.

Na szczęście nie odebrał. – Niby się uśmiechnął, ale jednak udzieliła mu się moja aura traktowania sytuacji poważnie. Widziałem to w jego piotrowym oku. Niepokój przykryty rozbawieniem.

– Dobra, nie pierdol. – Na tyle było go stać w ramach naszej pełnoletniej już, wszystkiego najlepszego, znajomości. Co oznaczało, że niewiara w szczerość mojego wyznania wzięła górę. Głupcze, niedowiarku, uparcie myśląca, że wszystko wiesz, kochana cyniczna istoto. Jeśli ktokolwiek miałby mnie powstrzymać przed tym czynem ostatecznym, to właśnie ty. Lecz ty, to za mało. Będę z zaświatów śmiał ci się w twarz, że nie wierzyłeś. Tak pomyślałem, a powiedziałem:

– Idę zapalić.

To był początek końca.

Usiadłem w najodleglejszym kącie szczęśliwie pustej palarni. Tylko ja, papieros, whisky i decyzja, którą podjąłem i od której nie zamierzam odstąpić. Zagapiłem się na ostatnią szklankę w moim życiu. Nie wiem, jak długo to trwało. Wiem tylko, że był to czas wystarczający, żeby oswoić sytuację. W pewnym momencie moją medytację brutalnie przerwano. Nie podniosłem wzroku. Spojrzałem na zegarek i wróciłem do obserwacji złotego trunku.

– Można? – Z założenia na tak zadane przez mężczyznę pytanie nie odpowiadam twierdząco. Bo natręt w przeciwieństwie do natrętki jest według moich kryteriów bezużyteczny. I nie chodzi mi o popędy. Przynajmniej nie tylko. Z kobietą jeszcze można o czymś świeżym porozmawiać, a faceci... te same przepychanki od zarania dziejów, szpady zamienione na słowa.

Jednak tej nocy, biorąc pod uwagę, że za czterdzieści pięć minut mnie już w tym wymiarze nie będzie, postanowiłem zrobić wyjątek.

– Proszę. – Nawet nie zlustrowałem przybysza wzrokiem. Znam setki takich co to miodu w dupie szukają, albo autografu, albo wie pan, bo ja też piszę, albo selfie, albo cholera wie co. Słowem – atencjuszy. Podgatunek nie ma znaczenia. Zatem siadaj kurwa i sobie siedź. I daj z siebie wszystko, żeby dać mi spokój. Kibicuję gorąco.

– Można? – Zdaje mi się, czy to pytanie już padło z tych totalnie nieinteresujących mnie ust.

– Proszę. – Nie lubię się powtarzać, ale ok. Każdy ma prawo w knajpianym zgiełku nie usłyszeć. Dopiero szelest opakowania skrywającego dwudziestu małych żołnierzy pod wodzą generała raka uświadomił mi, że to były dwa różne, choć tak samo zadane pytania. Nadal nie widziałem powodu, żeby oderwać wzrok od stojącej przede mną szklanki whisky chociaż na chwilę. A niech pali. Niech go piekło prędej czy później pochłonie. Pomacałem sobie pistolet pod płaszczem. Mnie pochłonie za czterdzieści minut. Nie odbierajmy sobie jakże cennej sprawczości.

Skoczę na główkę do płonących jezior ifrytów i zażyję kąpieli w kotle pełnym smoły za minut trzydzieści dziewięć.

– Można? – Co można? O co ci chodzi? Nie widzisz, że tu ciężar spraw jest ogromny? Że gęsto jest od ostateczności? Zaraza. Aż podniosłem wzrok, żeby zobaczyć, jak bardzo marny jest ten niepotrzebny przecinek w jednym z ostatnich zdań mojego życia. W przedśmiertnym zdaniu wręcz.

– Co? – Omiotłem z grubsza sylwetkę przybysza. W zasadzie widok ów mi się spodobał. Cały na czarno. Spodnie, koszula, marynarka, płaszcz, kapelusz – wszystko w adekwatnym do sytuacji kolorze. Nieco zelżałem, bo wyglądał jakby wiedział, co się święci. Pasował do aury, jakby nieświadomie ją dopełniał. – Co można?

– Chciałem pana przeprosić. – Przechodząc wzrokiem do twarzy ledwo wyzierającej spod ronda kapelusza, pierwsze słowo jakie przyszło mi do głowy: doświadczona. Byłem zły, ale jego oblicze w sekundzie wybiło mnie z wisielczego zasępienia. Z jego skupionego spojrzenia spokojnie emanował przekaz: „bez nerwów, ja ogarniam całą tę sytuację zwaną funkcjonowaniem na świecie, wiem, o co się to wszystko roz-bija”. Niech będzie, wysłuchajmy pana.

– Za co chciał mnie pan przeprosić? – Oparłem twarz na dłoni i zająrzałem mu w oczy trochę tępo, bo inaczej aktualnie nie potrafiłem.

– Za to, że niechcący pana podsłuchałem. Poczułem się z tym źle i uznałem, że muszę się wytłumaczyć. – Ton miał uprzejmy, choć chłodny, oficjalny. Słowa cedził powoli, z groteskową starannością. Dziwnie, śmiesznie, trochę przerażająco.

– Nie ma o czym mówić. Proszę się nie przejmować. – Odpaliłem kolejnego papierosa i wróciłem do mojej szklaneczki. Trzydzieści siedem minut do końca. Jeden łyk whisky.

– Podsłuchałem i przyszedłem tu, żeby przedstawić panu pewną propozycję. – Wypuścił dym, założył nogę na nogę i zapatrzył się na zegar ścienny.

– Wie pan co, ja nie bardzo mam czas. W zasadzie zostało mi...

– Trzydzieści pięć minut? – Uśmiechnął się słabo, nie odwracając wzroku od wskazówek nieubłagane przesuwających się po tarczy, nieświadomych ciężaru ich ruchu.

– Bo jak niby mają wiedzieć, skoro nie żyją, tak jak ja zaraz nie będę nic wiedział?

– Proszę? – zapytał, słysząc moje majaki. O masz, powiedziałem to na głos.

– Nic. Ma pan rację, trzydzieści cztery minuty. Skąd pan... – Zaczyna się robić konkretnie. Kim ty, kurwa, jesteś przybyszu?

– Skroń, czy lufa do ust? Pan wybaczy wścibskość, ale nie sposób nie zauważyć fałdy broni skrywanej pod płaszczem. – Do uśmiechu dodał podniesioną zawadiacko brew. Jakby trochę popisywał się swoją spostrzegawczością, jak i trafnością uwagi.

– Podobno jest minimalna szansa na przeżycie w przypadku skroni, także do ust. – W odpowiedzi na ten akt pewności siebie, przyjąłem ton wykładowcy matematyki, który tłumaczy ambitnemu i błyskotliwemu, ale jednak tylko adeptowi, dlaczego jest tak a nie inaczej. – Teraz przepraszam, jeśli pan pozwoli, mam samobójstwo do popełnienia. Nie chciałem być niemiły, ale to sprawa między mną a mną. Jest pan, jakkolwiek uprzejmy, ale jednak natrętem. Dobranoc. – Dopilem, zgasilem i wstałem. W normalnych warunkach być może poświęciłbym tak nietuzinkowej i potencjalnie bogatej w polot postaci więcej czasu i uwagi. Ale jest jak jest, a zegar tyka.

– Mogę panu towarzyszyć? – Zatrzymałem się w progu palarni. Czy ja już mam jakieś przedśmiertne omamy słuchowe? Mój organizm po kolei zamyka procesy, gotując się

do odłączenia od systemu? Wróciłem do natręta w kapeluszu i oparłem się o stolik.

– Co?

– Czy mogę panu towarzyszyć? – Powtórzył ze spokojem zagadnięcia o pogodę, bo jutro w Bieszczady i nie wiadomo co zabrać. – Moglibyśmy zrobić to razem. Mógłbym panu pomóc. – Zmienił ton na zdecydowanie uprzejmy. Tu z kolei odbyło się coś na zasadzie: „niech pan sam nie taszczy tej sofy na czwarte, ja pomogę”.

– Czy pan mówi o wspólnym wciągnięciu kreski na desce w kiblu? Bo ja o samobójstwie. Już w samym słowie znajduje się element jednostkowy w przeciwieństwie do zbiorowego. – Przycupnąłem na skraju krzesła i spojrzałem na niego z ironicznym grymasem. – Jak by to miało wyglądać według pana?

– Nie chciałem pana urazić. Po prostu pierwszy raz podśledzałem, że ktoś chce popełnić samobójstwo za pół godziny i pomyślałem, że zapytam, czy mogę w tym uczestniczyć. Zobaczyć jak to jest... wie pan, kiedy ktoś postanawia to wszystko skończyć sam. To musi być niesamowite przeżycie.

– Przeżycie. Dobrze. – W jednej chwili uznałem, że w sumie czemu nie. Czemu ten ekscentryczny jegomość nie miałby doprowadzić mnie do brzegu Styksu i pomachać mi na do widzenia, kiedy będę się pakował do łodzi Charona. Zupełnie obcy człowiek, który nie mówi „nie rób tego”, tylko twierdzi, że ma chęć uczestniczyć w wydarzeniu na zasadzie widza w kinie. – Muszę panu zadać dwa pytania. Czy jest pan z policji? – Kiwnął, że nie. – W takim razie, czy nie obawia się pan policji? Że ktoś pana ze mną powiąże?

– Nie. Nie znamy się. Nikt nie widział jak tu wchodzę. Jeśli się pan zgadza, zrobimy tak: ja teraz wyjdę, a pan za pięć minut podejdzie pod kiosk Ruchu, wie pan, ten na rogu. Jeśli nie... cóż, powodzenia. – Wstał, uklonił się i wyszedł, zostawiając mnie w pustej palarni z tarczą zegara i wątpliwością. Co ja gadam „wątpliwością”. Strachem. Bo oto nagle luźny zamysł stał się planem. Sformalizował się, nabrał konkretnego kształtu, dynamiki i napięcia. To nie jest tak, że nie chciałem ze sobą skończyć. Tylko nagle poczułem, że usunięto margines odwołania od decyzji, pozbawiono mnie buforu bezpieczeństwa w postaci możliwości rezygnacji, która wiązałaby się z ośmieszeniem przed samym sobą, tudzież Piotrem, co było do zniesienia. A tu proszę. Nijak nie można się wycofać. Bo jak by to wyglądało. Tchórzostwo, pustosłowie, i co najgorsze, atencyjność, na którą mam uczulenie.

Czułem się jak człowiek zdecydowany, stojący na balkonie na dziesiątym piętrze, którego ktoś popchnął. I tak miałem to zrobić, ale teraz to już po prostu spadam.

Trudno. Wstałem, ukloniłem się wskazówkom, wyszedłem.

\*\*\*

## KIOSK RUCHU, WIE PAN, TEN NA ROGU

– Skoro pan tu jest, uporządkujmy pewne sprawy. – Równy pięć minut po pożegnaniu pod kiosk podjechał,

obowiązkowo czarny, Ford Mustang. Wsiadłem, zapiąłem pasy, zaśmiałem się do siebie, odpiąłem pasy. – Nie, nie. Proszę zapiąć. Rozumiem groteskowość tej czynności, ale będzie pikało. – To zapiąłem. Po co ma pikać.

Ruszyliśmy.

– Uporządkujmy? – Mam się za dwadzieścia minut zabić, co chyba w oczywisty sposób świadczy o tym, że nie mam już nic do porządkowania. Co też za koncepcje się kotłują pod tym kapeluszem? Po prostu to zróbmy, Boże, czemu mówię już w liczbie mnogiej, jakbyśmy byli partnerami w zbrodni, po prostu to zrobię, a pan niech świadczy i nie przeszkadza.

– Zdaję sobie sprawę, że jest pan zdecydowany. Pytanie tylko, czy pomyślał pan w jakich okolicznościach chce się ewakuować z tego świata.

– To znaczy? – Muszę przyznać, że zabił mnie tym pytaniem.

– Pomyślał pan, gdzie chce to zrobić? Jakies szczególne, symboliczne miejsce? Takie, które na przykład się panu specyficznie kojarzy? – Odwrócił się do mnie z powagą na twarzy i wesołością w oczach.

– Nie. To znaczy, nie o to chodzi. – Przyznaję, że nie myślałem o tym aż do teraz. Chodziło o skrócenie męki, nie o nadawanie owemu skróceniu jakichś szczególnych przymiotów emocjonalnych. Jednak skoro już zapytał, może warto chociaż trochę okoliczności dookreślić. – Chcę pewnej określonej aury, niezwiązanej z moimi wspomnieniami czy przeżyciami.

– Proszę bardzo. Jaka to ma być aura? – Wrzucił jedynkę i włączył kierunkowskaz.

– Dziś jest pełnia, chcę widzieć księżyc. Chcę również od-  
ludzia i bliskości natury, lasu. Chcę to zrobić w lesie.

– Zatem jedźmy do lasu i pan to zrobi. Zawiozę pana, pan  
to zrobi i odjadę jakby nic się nie stało.

– W porządku. Swoją drogą, zdeterminowany pan jest.  
Rozumiem, ciekawość, ale zachowuje się pan jakby to jego  
życie wchodziło w grę.

– Uznałem to w międzyczasie za rodzaj misji.

– To znaczy?

– Warto mieć kogokolwiek przy sobie w takiej sytuacji.  
Chociażby po to, żeby ktoś powstrzymał pana przed rozmyśle-  
niem się.

\*\*\*

23:48

## LEŚNA DROGA

– Jak się czujesz? Dwanaście minut przed wejściem w nie-  
znane, które może okazać się czymś albo absolutnie ni-  
czym? – odezwał się po kilku minutach milczenia. Jakby na  
chwilę ktoś go spauzował i teraz wznowił, tuż przed finałem  
rozgrywki.

– Przeszliśmy na „ty”? Bo jakoś nie kojarzę tego mo-  
mentu, a nie wypilem dziś specjalnie dużo – odparłem  
szorstko. Nie dlatego, że jestem formalistą. Po prostu nadal  
byłem zły, że odarł mnie z samodzielności i wolności, za-  
klócił intymność, rozrzedził gęsty indywidualizm przeżycia.

Znowu łapię się na tym, że odebranie sobie życia traktuję w kategoriach przeżycia. Co za bezsensowny paradoks.

– Mój błąd. Pomyślałem, że w obliczu śmierci nie będzie pan miał nic przeciwko lekkiemu ociepleniu relacji z ostatnią osobą, którą zobaczy pan na tym świecie.

– Faktycznie, może masz rację. Edward. – Zatrzymał samochód, wyłączył silnik i podał mi dłoń. Ucisnąłem.

– Feliks. Dojechalismy. Dalej pieszo. Dwieście metrów. Znam miejsce odpowiadające twoim oczekiwaniom. Mam nadzieję. W każdym razie według mnie naprawdę warto. Piękny kawałek przestrzeni. Nawet żeby skończyć. Urokliwy i tajemniczy. Zakochasz się. Gdybym miał odebrać sobie życie, to tam.

– Znakomicie. Prowadź. – Tak oto z pana sytuacji stałem się jej najwyższym koordynatorem, by nie powiedzieć ze wstydem: ciałem wykonawczym. Wykreowałem ją i przekazałem w czyjeś ręce. Przecież nie tak to miało być. Trudno, wróćmy do klimatu. Dobrze, że zapytał o aurę i preferencje. Ten szumiący las, żywej duszy, pan Twardowski z góry spogląda, zwierzęta niby śpią, ale w jakiś przedziwny sposób można odczuć ich nocną czujność. Zaczęło mi się tu podobać. W sensie – jakże tu ładnie. Nie w sensie „chcę tu popełnić samobójst...”

– I jak? Nada się? – Wyszliśmy z gęstwiny na niewielką polanę. Muszę przyznać, parafrazując Agnieszkę Osiecką, to jest to. Jeden las, jedna polana, jeden księżyc, jeden pistolet, jeden cel.

Plus jeden pisarz, który czuł się jakby wjechał na bungee i uznał, że ma lęk wysokości.

– Wiesz co...

– Mogę zobaczyć broń? Mamy jeszcze chwilkę, a jestem bardzo ciekaw. Nigdy nie miałem w ręku broni. Po fakcie już nie wezmę, sam rozumiem...

– Jasne! – Wyrwałem się na myśl o odroczeniu. Że jeszcze sobie poogląda broń, że jeszcze nie teraz. Jakby był oficerem wrogiej armii, prowadzącym mnie do miejsca, gdzie strzeli mi w potylicę i wpadnę do przygotowanego wcześniej dołu. Przecież to ja go wykopałem, o co chodzi? To chcę, czy nie chcę?

Chcę. Pewnie, że chcę.

Taki mały lęk przed nieznanym to jest. Decyzja powzięta, nie ma o czym mówić. Ale niech się jeszcze natręt pobawi, co mi szkodzi dać mu się pobawić. Nic. W takim układzie ja się przygotuję szybciułko w międzyczasie.

Przyznaję, kiedy jest się od roku na miejscu tego pana obok, czyli traktuje gnata jak ciekawostkę, a nie narzędzie i się tak raz na jakiś czas wyjmuje z szuflady, maca, patrzy na lufę, kieruje dziurę wylotu pocisku prosto w twarz, odkłada, zamyka szufladę i liczy dni do deadline'u – czuje się absolutną pewność siebie.

Bo jeszcze nie teraz.

Jeszcze dwanaście miesięcy, osiem, pół roku, a, dopiero styczeń, do maja jeszcze ho ho, o Boże marzec, w dwa miesiące na pewno moje życie nabierze sensu, kwiecień, luzik, przyjdą słowa, zstąpi twórcza moc, łe, trzy tygodnie, e tam, został tydzień, a przecież w tyle czasu potrafiłem napisać pół książki.

Codzienny rytuał rozmowy z Mauserem M1914, kaliber 7,62. Monolog pełen cynizmu i pewności zero – jedyńkości mojej romantycznej decyzji. Tworzenie albo śmierć.

Aż nadszedł ostatni tydzień.

Wówczas zrobiło się trochę krucho. Nie że się złamałem, czy zamierzałem złamać dane sobie słowo. Nie. Bo byłem konsekwentny. Nastąpiła przedziwna panika w postaci wzmożonej chęci wygrania tego zakładu, który miałem sam ze sobą. Nie było również tak, że oswoiłem się ze strachu z rutyną kupy mojej, mojego psa, kupy niepotrzebnych czynności, które definiowały moje życie. Nadal mnie nużyły, upokarzały, dawały nieustająco silny zastrzyk poczucia beznadziei. Niezmiennie ich nie chciałem i ciągle czułem potrzebę ucięcia ich i siebie przy samym korzeniu.

W grę wszedł inny element.

Nazywał się jak tytuł wykładu jakiegoś pseudo kołcza, który w sumie chuja wie, ale nadrabia charyzmą.

Mianowicie.

„Dasz radę.”

W związku z tym moje sprytne, smukłe paluszki były w użyciu od początku maja non stop. Mniej więcej z tą samą częstotliwością pojawiał się pot na skroni i budzenie się z krzykiem w środku nocy.

Jak również pytania: jak ruszyć? Jak wrócić? Próby odpowiedzi na owe pytania skutkowały absolutnym lekceważeniem rzeczywistości.

- Wyjdiesz z psem? – Nie.
- Zjemy na mieście? – Nie.
- Pójdziemy na nowego Smarza? – Nie.
- Ok, chcę spróbować w tyłek. – Nie.

Także aż tak.

Wszystko „nie”. Tylko dni, godziny, minuty, sekundy. Żeby odkopać siebie albo siebie pogrzebać.

Jednym słowem presja. Bo nie tchórzostwo, nie defetyzm.  
To jest Sparta. Uda się lub nie, ale walczymy do końca.

Poniedziałek, pięć dni do tego dnia, kiedy powiem pas.  
Nieodwołalny termin. Nie uda się to nie.

Pierwszy raz pomyślałem – nie. Nie płyniemy z prądem  
kochany. Budujemy tamy, porty, floty, opanujemy akwen raz  
dwa. Wtedy pierwszy raz padło cztery razy „nie” w kierunku  
mojej łubej. Kiedy zadała piąte pytanie, nie wiedząc z czym  
się borykam, odeszła.

Pytanie brzmiało:

– Czy nasz związek jest dla ciebie najważniejszy?

Odpowiedź brzmiała tak jak w przypadku poprzednich  
pytań. Zgodnie z prawdą i sumieniem. Bo tu idzie o życie,  
kobietę. Niestety o tym dowiesz się post factum. Z nekrologu.  
Wtedy zrozumiesz. Trochę za późno. Przy czym nie mam  
prawa cię winić. W ogóle. Pytałaś tyle razy.

– Wszystko ok? Dobrze się czujesz?

Jak na troskę o ukochaną osobę przystało.

To nie.

Oczywiście męska duma odpowiada, że tak.

Kiedy ewidentnie jest nie.

– Fajny ten Mauser. Klasyka. Proszę. – Cholerny natręt.  
Nie, nie dam mu przerwać narracji...

Chcę sobie o tym teraz opowiedzieć.

Wracamy do przeszłości.

Zatem.

Wtorek. Dzień ekscytacji. Czy dam radę? Koniec końców  
zostało parę dni. Palce same wskakują na klawiaturę. Słowa

ruszyły, nie jest najgorzej, jest całkiem całkiem. Wklepuję zdania w worda do upadłego. Dosłownie.

Środa.

Jest rano, tyle podpowiada mi słońce.

Siedzę w fotelu przed komputerem. Podnoszę wzrok, żeby zobaczyć na czym stoję. W jakim stanie całonocna bitwa o bycie przydatnym, a zatem o życie, zostawiła moje literackie oddziały. Są na pozycjach, czy rozproszone. Przegrupowały się i zamierzają kontratakować, otoczyły przeciwnika, morale pozwala na natarcie z pieśnią na ustach, czy może straty są zbyt duże, ranni marudzą, dowódcy uciekają w popłochu?

Jak jest?

Patrzę na ekran i odtwarzam przebieg zmagania. Każda literka, linijka, zdanie, akapit. Byłem tak przejęty tworzeniem, że mózg nie zdołał w zasadzie niczego zapamiętać. Czytam, jakbym widział te czarne znaki na białym tle po raz pierwszy.

*Czuję jak to miasto niszczy mnie od środka, jak codziennie pożera i wypluwa słabszym, przetrawionym, bezsilnym.*

Przecież to jest tak wtórne, że głowa boli.

*Kiedy każdego dnia mijam przechodniów, czuję się coraz bardziej samotny. Bo nie potrafię oprzeć się wrażeniu, że oni tego nie widzą. Że tylko ja dostrzegam bezduszną społeczność maszyny, które jesteśmy trybikami.*

O czym ty piszesz? Co chcesz przekazać? Żal? Żal to to czytać.

*W gruncie rzeczy niepotrzebni i funkcjonujący bez wyraźnego powodu. Tak naprawdę podążając dzień w dzień bez prawdziwego celu i sensu tymi samymi ulicami, mijając tych samych ludzi, wprawiających w ruch tę samą strukturę nawet o tym nie wiedząc.*

Pięknie. Jaki uważny obserwator. Jaki wnikliwy.

*Wchodzę do sklepu. Te same drzwi, ta sama ekspedientka, to samo fałszywe powitanie. Mordercza pułapka powtarzalności. Przechodzę do działu z gównianym żarciem, które tak uwielbiam, a którego – mając na uwadze skład – nie dałbym nawet psu. Biorę puszkę i odwracam się szybko, gdyż szybko chcę dokonać transakcji i uciec. Czuję się winny przed sobą, klientami i rzeczoną ekspedientką. Pocę się ze wstydu, że karmię się takim szmelcem. Tak samo mam z kupowaniem prezerwatyw. Wtedy mam wrażenie, jakbym wykladał na ladę penisa. Że pani przy kasie patrzy na mnie i wyobraża sobie śmieszne ruchy, jęki i wylewającą się ze mnie spermę i głupią minę podczas wytrysku. W ogóle coraz częściej wstydzę się siebie i tego co robię.*

Ilu... no ilu pisarzy wylewało na papier tę małą, jednostkową tragedię dnia codziennego? Niepotrzebne uzalanie się nad sobą. Neuroza i fanaberia czasów pokoju. „Przeraża mnie robienie zakupów, o świecie, co za dramat”. To, kurwa, nie rób, nikt cię nie zmusza.

*Wracając do tu i teraz, odwracam się szybko, żeby uciec. Nie zauważam mijającej mnie osoby, którą lekko trącam i wytrącam jej siatkę z warzywami z ręki. Uśmiecham się przepraszając i schylam, żeby zebrać z podłogi pomidory, marchew, szczypiorek i ziemniaki. Po chwili schyla się również ona. Odwzajemnia uśmiech. Jest niebieskooką brunetką w wieku średnim.*

Pewnie, baranie, spuentuj romanssem. Odkrywcze i świeże. Szczególnie, że każda twoja powieść się do tego sprowadza. Jeszcze kilka stron, może rozkręciłem się później...

# Spis treści

|                                           |     |
|-------------------------------------------|-----|
| <b>CZĘŚĆ PIERWSZA</b>                     |     |
| „JA”                                      | 4   |
| <b>DZIEŃ PIERWSZY</b>                     |     |
| POWIEDZ „NIE” NAGRODZIE                   | 90  |
| <b>DZIEŃ DRUGI</b>                        |     |
| „TERAZ” ODDYCHAJ                          | 180 |
| <b>DZIEŃ TRZECI</b>                       |     |
| MUSISZ TO, CO MUSISZ                      | 199 |
| <b>DZIEŃ CZWARTY</b>                      |     |
| ŻADNYCH OCZEKIWAŃ,<br>ŻADNYCH ROZCZAROWAŃ | 236 |
| <b>DZIEŃ PIĄTY</b>                        |     |
| WSZYSTKO JEST INACZEJ                     | 321 |
| <b>DZIEŃ SZÓSTY</b>                       |     |
| TO SIĘ TAK TYLKO WYDAJE                   | 412 |
| <b>DZIEŃ SIÓDMY</b>                       |     |
| POTENCJALNIE                              | 479 |